

W kawalerii II RP koń był traktowany, jak żołnierz zawodowy

Robert Woronowicz



1 Pułku Szwoleżerów II RP.

Jak już pisałem w majowym numerze *Hodowcy i Jeźdźca* o konie kawaleryjskie w II RP nie było łatwo. Pozyskane z trudem konie remontowe były przez trzy lata szkolone, zanim zostały uznane za w pełni zdolne do służby. Tyle czasu trwała też nauka podchorążego zanim został oficerem zawodowym kawalerii. Następnie koń miał służyć w wojsku do 16 roku życia czyli 10 lat. Na pewno konie w pełni zdrowe i przydatne do służby były przetrzymywane rok, dwa dłużej. Długa służba sprawiała, że konie zwierzęta o doskonałej pamięci stawały się wytrawnymi żołnierzami – instruktorami dla rekrutów służby zasadniczej. Koń pamiętał podstawowe komendy, sygnały trąbki, określone wymagania podczas wykonywania charakterystycznych czynności, jak np. spieszenie się kawalerii, poruszenia z koniowodnymi po spieszeniu. W kawalerii inny był również rozwój inteligencji koni niż obecnie w szkołach jazdy konnej, gdzie codziennie zmienia się kilku kursantów a każdy jest inny. W wojsku relacje zwierzę – człowiek bardziej przypominały relacje właściciela z własnym czworonogiem. Kawalerzysta i koń uczyli się siebie nawzajem przez rok lub dwa. Żołnierz obcował z koniem znacznie częściej niż większość dzisiejszych właścicieli stad wywiązywała się między nimi szczególna więź.

Koń stojący w stajni w stanowisku o siebie nie zadba. Wszystkie jego potrzeby musi zaspokoić człowiek w stopniu takim aby mógł służyć 13 i więcej lat w pełni sprawny i gotów do wypełniania nielekkich

zadań, jak np. udział w manewrach.

Każdy szwoleżer, ułan, strzelec konny czy kanonier sam zajmował się swoim wierzchowcem. Tylko w szczególnych wypadkach, jak urlop czy choroba w tych czynnościach zastępował go kolega. Nie było, jak dzisiaj w ośrodkach jeździeckich wachty, która zajmowała by się wszystkimi końmi. Obowiązkiem dyżurnych stajni było utrzymywanie czystości pomieszczenia, pilnowanie bezpieczeństwa koni oraz dopajanie w czasie upałów. W nocy, dyżurny nie mógł usiąść. Cały czas musiał być w ruchu doglądając koni i usuwając na bieżąco obornik.

Każdy kawalerzysta osobiście sypał owies swojemu wierzchowcowi i stał przy nim pilnując aby żadne ziarno owsa nie zmarnowało się. Wynikało to z ograniczonych funduszy na paszę, której ilości były skrupulatnie wyliczane i wydzielane. Obowiązywała zasada, że lepiej gdy koń zje o jedno ziarno owsa za mało niż miał by jedno ziarno zostawić. Jeżeli dowódca szwadronu chciał aby jego konie prezentowały się lepiej organizował dodatkowy owies np. od zaprzyjaźnionych ziemian, jak rtm.. Michał Gutowski, dowódca 1 szwadronu w 17 Pułku Ułanów w Lesznie. Karmienie odbywało się trzy razy dziennie a jego punktualność była surowo przestrzegana. Spowodowane to było zegarem biologicznym wytwarzanym przez system trawienny zwierzęcia i związane z jego zdrowiem. Gdy zaczynałem jeździć konno w 1980 r. w ramach jeździectwa akademickiego, obowiązywały te zasady zaszczerpione instruktorom przez ich nauczycieli, którymi byli oficerowie i podoficerowie przedwojennej kawalerii. Ja osobiście miałem zaszczyt być uczonym przez mjr. Marka Rozczynialskiego (promocja grudzieżka 1938 r.). Wdrożona nam zasada żelaznej punktualności karmienia skutkowałą następującymi konsekwencjami dla niepunktualnych. Jeżeli karmienie opóźniło się o 1 godzinę (na obozach letnich poranne karmienie 5. 00, pierwsza jazda 6. 00) najbliższy trening jeździecki był odwołany. Opóźnienie karmienia ponad dwie godziny skutkowało odwołaniem wszystkich treningów w danym dniu.

Podobnie rzecz miała się z pojeniem. Nie było oczywiście automatycznych poideł, nie biegano po stajni z wiadrami. Każdy kawalerzysta prowadził osobiście swojego rumaka do poidła tzn. do dużego pojemnika (koryta) wypełnionego wodą, gdzie koń pił do syta. Takie pojenie odbywało się pół godziny przed karmieniem a w upalne dni pojono konie dodatkowo. Przy ulicy Szwoleżerów w Warszawie, gdzie przed II Wojną Światową znajdowały się koszary pułku do końca lat 90 – tych ubiegłego wieku stały jeszcze betonowe koryta, które służyły jako poidła koni szwoleżerskich w II RP. Dopiero wybudowanie na tym terenie ambasad Japonii i Korei Pd. zlikwidowało te kawaleryjskie pamiątki.

Aby zapewnić koniom dłuższy odpoczynek, co roku w miesiącach letnich wyprowadzano je na pastwiska użyczone przez zaprzyjaźnionych z oddziałami właścicieli ziemskich, na których konie przebywały parę tygodni. „Dawanie łąki na wypas dla wojskowych koni był to rodzaj podatku, jaki obowiązywał naszych ziemian. Chłopaki mieli labę, bo nic nie robili, szef pilnował, żeby nie rozrabiali, a ja nie miałem nic do czynienia oprócz czytania książek i zabawiania moich gospodarzy... Danusia (klacz autora) zdobyła się na piękny wyczyn. Któregoś dnia, kiedy chłopcy nieszczerpólnie uważali, bo konie dotychczas najspokojniej pasły się, „zadarła ogona” i poprowadziła wszystkie konie do Leszna. Próbowali chłopci po drodze te rozbiegane konie łapać, ale nic z tego nie wyszło. Parę dni wypasu zmarnowane, bo konie po tym wyczynie wróciły strasznie zbiedzone.” Wspominał dowódca zwiadu konnego 55 Pułku Piechoty z Leszna, por. Sławomir Lindner. Zwiad szkolił się w stacjonującym w tym samym mieście 17 Pułku Ułanów Wielkopolskich. („Ale serce boli” Sławomir Lindner, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1983)

Dawki paszowe były ściśle wyliczone w niewygórowanych ilościach, jednak wiadomo, że staranne czyszczenie to dodatkowy kilogram owsa. Dlatego utrzymanie czystości sierści końskiej było szczególnym zadaniem kawalerzysty. Koń był bardzo dokładnie czyszczony rano. Jego opiekun był rozliczany z ilości kresiek kurzu wystukanych ze zgrzebła za stanowiskiem konia. Wprawdzie złośliwi twierdzą, że o czystości konia świadczy ilość kurzu pozostawiona w sierści konia ale to ciężko sprawdzić. Zasada ta po wojnie obowiązywała w stadninach i stadach ogierów, gdzie znalazło

zatrudnienie wielu kawalerzystów II RP. Przed każdym wyjściem na zajęcia koń był dodatkowo podczyszczany a po każdym treningu starannie rozcyszczany. Na noc wierzchowiec był dodatkowo czyszczony. Przy tak wielkiej dbałości o czystość sierści wierzchowca, często trudno było o uzyskanie odpowiedniej ilości kresek kurzu ze zgrzebeł. Wówczas ułan „pożyczał” kurz od kolegi, którego koń był po ćwiczeniach bardzo brudny. Zasady starannego czyszczenia koni obowiązywały po wojnie w jeździectwie akademickim lat 80 – tych (nauki przedwojennych kawalerzystów). Przed każdą jazdą instruktor drobiazgowo sprawdzał czystość koni kursantów. Jeżeli zauważył dużą niestaranność czyszczenia, nakazywał jazdę na oklep lub w szczególnych przypadkach wycofywał jeźdźca i konia z zajęć. Zasada ta upadła wraz z komercjalizacją nauki jazdy konnej.



1 Pułku Szwoleżerów II RP.

Aby zwierzęta nie zjadały razem z sianem i słomą kurzu i sierści, które wypadały z nich w czasie czyszczenia, czynność ta wykonywana była poza stajnią przy koniowiazach.

Utrzymywanie czystości w stajni powodowane było również bardzo niewielkimi ilościami słomy przewidzianej dla jednego konia. Konie stały w stanowiskach długości 3 metry i szerokości 1,5 metra. Obowiązkiem dyżurnego stajni było usuwanie na bieżąco obornika. Mimo, że kawalerzysta po niedługim czasie umiał rozpoznawać kiedy, który koń zabierał się do tej ważnej czynności nie wolno było podstawić szufli na odchody pod zad koński aby nie denerwować rumaka dziwnymi odgłosami za jego ogonem.

Innym sposobem utrzymywania czystości stajni były mierzwniki. Był to system suszarni do mokrej, niezużytej słomy, z których uzupełniano ściółkę w końskich stanowiskach.

Dużą wagę przywiązywano do zapewnienia wierzchowcom ruchu. Konie stały w stanowiskach nie w boksach, jak dzisiaj. W pułkach nie było również automatycznych karuzeli obecnych w większości

współczesnych ośrodków jeździeckich. Ruch zapewniali koniom kawalerzyści. Przed południem odbywały się podstawowe zajęcia jeździeckie, które trwały ok. 1,5 godziny. Po południu wyprowadzano konie na godzinnego stępa pod siodłem, na oklep lub w rękę.

Z powyższych przykładów widać, że szwoleżer, ułan, strzelec konny, kanonier DAK – u (Dywizjonu Artylerii Konnej) znaczną część dnia w swojej służbie wojskowej spędzali przy koniu. Karmienie, czyszczenie i przygotowanie do zajęć, trening jeździecki, rozcyszczenie, południowe karmienie, przygotowanie konia do popołudniowego stępa, rozcyszczenie, karmienie wieczorne, czyszczenie po całym dniu, ostatnie pojenie. Między tymi czynnościami związanymi z koniem kawalerzysta musiał jeszcze szkolić się w przedmiotach wojskowych pieszych. W czasie manewrów a potem na wojnie, najpierw zajmowano się końmi. Dopiero po pełnym zadbaniu o nie, żołnierz mógł się zająć sobą.

W porównaniu ze służbą w innych rodzajach wojska, gdzie koni było mniej (a były wszędzie) była to naprawdę ciężka służba.

Tak zadbane konie bardzo wiązały się z wojskiem. „Znane są wypadki, kiedy wysłużony koń kawaleryjski, wybrakowany z pułku po przekroczeniu regulaminowego wieku (16 lat) i sprzedany, człapiący w wózku handlarza czy wozaka, po usłyszeniu sygnału trąbki wojskowej zrywał się do galopu, nie reagując na sprzeciwy woźnicy, rozbijał po drodze pojazd i dołączał, potłuczony, wychudzony, ze śladami bata na skórze, do maszerujących oddziałów. Nie były to przypadki odosobnione” (Lesław Kukawski, Cezary Leżeński „O kawalerii polskiej XX wieku”, Warszawa 1991.)

Do dobrostanu koni przywiązywano wielką wagę na wszystkich szczeblach dowodzenia broni jezdnych. Nie było możliwości zatrzymania wszystkich wysłużonych koni, jednak szczególnie zasłużone konie często pozostawały „na łaskawym” chlebie jako żywe pomniki tradycji pułku. W 1 Pułku Ułanów Krechowieckich im. płk Bolesława Mościckiego pozostał Krechowiak, wierzchowiec patrona oddziału. Wszyscy dowódcy pułku dosiadali Krechowiaka na uroczystościach pułkowych. Dożył 27 lat. W 9 Pułku Ułanów Małopolskich wierzchowiec pierwszego dowódcy pułku Selim dożył 30 lat. Piękne wspomnienie o swoim frontowym a potem sportowym koniu Jaśku pozostawił mjr. Adam Królikiewicz: „Od czasu, gdy Jasiek przeszedł w stan spoczynku, prowadził, niczym nie skrępowany lądemocji. Korzystał ze swobody ruchów na cały teren koszar i placów pułku. W pogodne dni szef szwadronu wachmistrz Hawła wypuszczał go za stajni i Jasiek udawał się w dowolnym kierunku na swój codzienny spacer, na przegląd życia pułku. Na niewielkim placu, otoczonym z dwóch stron stajniami, a z dwóch budynkami koszarowymi, odbywały się w godzinach zajęć ćwiczenia jazdy konnej, ujeżdżanie młodych koni, musztra, wołyżerka, władanie lancą, cięcie łóz i rąbanie szablą z konia w pełnym galopie, klucie manekinów lancą i szablą, zdejmowanie pierścieni i podobne ćwiczenia białą bronią – napełniały życiem i kurzem w pogodne dni szwadronowe rejonu.

Jasiek przypatrywał się ćwiczeniom rekrutów i młodych koni. Tu miał najwięcej uciechy i fachowych spostrzeżeń. Ze znajomością wysłużonego wojskowego wygi przechodził od plutonu do plutonu, notując w swej pamięci widziane usterki. Gdy obszedł już wszystkie szwadrony – taki bowiem miał ustalony porządek dnia i zwyczaj – resztę wolnego czasu poświęcał beztroskiej włóczędze po ogródkach gospodarstw szwadronowych, gdzie wyjadał co smaczniejsze rośliny, jarzyny, a nawet kosztował niektóre kwiaty. I choć żadnemu koniowi nie darowano by tego, jemu wybryki te uchodziły bezkarnie. Był ulubionym pupilem wszystkich, nietykalnym tabu, był bowiem żywą historią sławy i świetności sportowej pułku – jego bardzo zasłużonym koniem.” (Adam Królikiewicz, „Jasiek, Picador i ja”, Warszawa 1958.

Jasiek żył 28 lat, do grudnia 1933 r.